



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET



BOŻE NARODZENIE

podług obrazu prof. Seitz'a w Rzymie, znajdującego się w kościele katedralnym w Djakowarze.

CUDOWNA STAJENKA

Dobrym ludziom na kolendę.

Gdybys ty częściej, kochany człowiecze,
Zaglądał w czyste sumienia okienko,
Tobys dopatrzył, (co na to świat rzecze?)
Że i ty jesteś cudowną stajenką.

Bóg chce koniecznie narodzić się w tobie,
Do twej małości przykrawa się wzrostem:
I oto został dzieciąteczkiem prostym,
W twojej się duszy położył jak w żłobie.

Twardy to żłobek, z kamienia. — Aż smutno!
Czem-że go wysłać? Duszyckę ubogą
Nie stać na jedwab', ach! ani na płótno;
Chyba jej chęci policzyć się mogą.

Te dobre chęci, to ździebła znikome,
Lecz i ze ździebeł przygotuj usłanie,
A Bóg się wdzięcznie uśmiechnie i za nie.
Chlebem żywota zapłaci za słomę.

A potem uważ i miej to na oku,
By uwiązane u żłobu zwierzątka
Nie gryzły rączek, ni nóżek Dzieciątka,
I duchowego nie zjadły obroku.

Bo są zwierzęta i w twojej stajence;
O! jest ich więcej niż tam w Betleemskiej;
Są namiętności i żądze zwierzęce,
Które zdradzają pierwiastek twój ziemski.

Wprawdzie i zwierzę, to boskie stworzenie —
Sprawiedliwości domaga się naszej;
I żądza, w jarzmie trzymana uczenie,
Ma swoje prawa do życia i paszy.

Niech-że więc jedzą osiołki i wołki,
Niech-że u żłobu nakarmia się ciało!
Lecz tylko tyle, aby z tej podściółki
Coś i dla Boga przecie pozostało.

Bo jeśli żłobek wypróżnisz do denka,
Zsinieje nagle Dziecina różowa;
W kamiennej duszy Bóg się nie odchowa,
I pustką stanie cudowna stajenka.

Deotyma.

GOŚĆ NA WIGILIĄ BOŻEGO NARODZENIA

(Dokończenie).

Ślub p. starościca odbył się w Kwietniu r. 1682, w Maju r. 1683, w wilię Św. Jana Nepomucena, urodził mu się synek, któremu też dano na imię Jan, a w Lipcu już mu się było trzeba z tem wszystkim pożegnać — i na wieki. Przyszły ordynanse wzywające na wyprawę pod Wiedeń i p. Stanisław musiał wszystko ukochane poza sobą zostawić, do Warszawy najpierw jechać, a potem d. 16 Sierpnia z chorągwią swoją zpod Krakowa już wojennym rynsztunkiem ciągnąć. W wilię wyjazdu w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, pisał staroście listy do domu, do rodziców i żony, którą im, a szczególnie matce, pod opiekę oddawał. Miała rok siedemnasty, była jak gołąbek łagodna i niewinna; prócz synaczka swego, którego sama karmiła, żadnego swego dobra nie byłaby umiała obronić i listy starościca do rodziców były gorącą prośbą, aby w niej część jego samego widzieli. Synkowi swemu przysyłał też w tym li-

ście ojcowskie błogosławieństwo, jakgdyby miał przecucie, że już go widzieć więcej nie będzie. A i tu jeszcze odbiła się troskliwa myśl jego o żonę. Zalecał synowi, aby, gdy dorośnie, był dla matki opiekunem dobrym, jeżeli innego już jej nie stanie; przecież jej samej o nic nie prosił, prócz o miłość i pamięć dla niego. — Marysiu moja, pisał — kochaj ty mnie stale, nie zapominaj żywego, czy umarłego, bo zdaje mi się, że mi tego trzeba koniecznie, nietylko tu na ziemi, ale i tam, gdzie będę, gdyby mi było trzeba z życiem się rozstać. Nie wiem, czybym mógł bez tego zbawienia niebieskiego dostąpić — pokutowałbym chyba i był duszą czyszczonej męki cierpiącą...

Był jeszcze drugi list od niego, pisany zpod Wiednia, już po zwycięstwie i gdy się wybierano w węgierski kraj ku Presburgowi ciągnąć. List ten był krótki; staroście głównie donosił, że zdrow jest, bez szwanku mógł bez tego tryumfu króla i wojska polskiego być wielki. Król wysłał do królowej kuryera z listem i staroście dał mu też swój, który szczęśliwie do Dziewoszyc doszedł, wielką radość i wielkie uspokojenie kochającym go sercom przynosząc. Ale od tego czasu, już nie dał nic wiedzieć o sobie, ani nikt wieści żadnej nie przyniósł. Wojsko wracało marszem powolnym, pojedyncze poczty, a nawet raz po raz ktoś z przedniejszych panów i rycerstwa z orszakiem własnym do domu wracał; o staroście przecież nie słyhać nie było. Aż wkrótce potem, gdy król przez Sącz do Krakowa na święta Bożego Narodzenia w samą już wilię zjechał, otrzymał starosta wiadomość straszną, że staroście zginął. Książę Wojewoda Ruski pisał, że stało się to pod Parkanami. Widziano go raz ostatni w chwili najcięższej pogromu, gdy król lgnąć z koniem na świeżo roztajalej po zmarznieniu roli ornej, ledwo został przez koniuszego koronnego. Matczyńskiego, szczęśliwie w bezpieczniejsze miejsce uprowadzonym. Staroście znalazł się tam, na ratunek mu właśnie. On i rajter jakiś wstrzymywali Turków, którzy za królem się upędzali. Matczyński widział go na własne oczy i on to nawet na niego zawołał, aby dla miłości Bożej i honoru ojczyzny, króla ratował, bo inni pędzili mimo, w popłochu o życie własne jedynie dbając. Staroście potykał się zrazu z dwoma Turkami, potem p. koniuszy widział, że ich przybyło, i potem już nikt nic o staroście nie wiedział. I p. koniuszy, i książę wojewoda, i nawet sam król wywiadywali się troskliwie, ale nic dowiedzieć się nie mogli — przepadł jak kamień w wodzie.

Że Turcy pod Parkanami zgolił jeńców nie wzięli, upadła nawet ta nadzieja smutna, że się może do niewoli dostał. Mimo to posyłano do Turków, i Tatarów Selim Geraja z poselstwem, że król odda dziesięciu najprzedniejszych jeńców za Starościca Borysowskiego. Ale wszystko to okazało się daremne: śmierć była też niewątpliwa.

Na Trzy Króle doszła ta wiadomość ojca. Król Jan, który pamiętał, że staroście, ratując mu życie, zginął, i Wojewoda Ruski, jako krewny i przyjaciel, pisali do niego pocieszając, lecz stało się to śmiertelnym ugodzeniem go w serce, bo choć czytając listy, na miejscu nie został, ale śmierć już mu weszła w piers za tym ciosem. Zżółkł jak воск, z żoną nawet mało-co mówił i roku całego nie pozyl. Jednego rana znaleziono go trupem w łóżku, zabitego przez apoplexyę. W wilię dnia tego przyjechał w odwiedziny gwardyan Dominikanów z Chotajewicz i pod nieszczęśliwym natchnieniem zaczął coś o nadziejach, że może staroście znajduje się gdzie w niewoli? Opowiadał, że miał niedawno listy od Trynitarzy naszych z Konstantynopola, donoszących, że nadszkodziewanie wiele tak szlachty, jak prostego ludu, znajduje się u Turków i na Krymie. Pochwymano dużo podjazdów pojedynczych, dużo takich, co ranni będąc, za permissyą do domu powracali z pocztą niewielką, i innych, którzy na placu boju, jakoby martwi pozostali, a których Tatarzy, włócząc się za tą praktyką po nocy, zbierali i docuiali u siebie. Ale starosta prawie surowo gwardyanowi przerwał, aby sere, co się pod wyrokiem woli Bożej upokorzyły, próżnemi uludami nie wstrząsał, i nazajutrz rano, gdy starościna, zwykle później wstająca, zobaczyła z przestraczem, że mąż jeszcze leży, i zawołała na niego: już odpowiedzi nie było... Umarł

widać rankiem wczesnym; pewno po przebudzeniu zaczął nad stratą swoją przemyślać i krew zalała mu serce.

Teraz dwie kobiety, na które spadł nowy kir żaloby, zostały już same z sierotką małą. Co za czara, tak dolanej boleści, była do spełnienia! co cierpienia, które trzeba było zwyciężyć, aby nie wpaść w rozpacz! Gdyby nie Jaś, byłyby pewno zwyczajem czasów tamtych, majątek cały na klasztor jaki oddawszy, osiadły w nim obie, bo teraz świekra i synowa, były sobie więcej, niżeli matka i córka. Ale trzymało je na świecie dziecko; że to zwłaszcza był syn, kazało to z życiem dalej się łamać, a sprawy ziemskiego bytu nie dawały się zapominać i od świata odwrócić. Młoda pani nie była zdolną do rządów i starościna musiała wywołać sobie z duszy wszystką energią dawną, aby rodzinny majątek sieroty nie został uszczuplonym. A przyszło w kolei rzeczy zdawanie w ręce nowe starostwa, które nie mogło, jak to zdarzało się nieraz, pozostać w rękach niewieści, bo były to kresy i takie, gdzie Rzeczpospolita potrzebowała zawsze strażnika czujnego. Borysowskie Starostwo zdawienawna, bo od Zygmunta Staroego, z tem względem obsadzane bywało i zawsze, zawsze siedział na nim mąż roztropny i człowiek rycerski, lecz król Jan bardzo ciężko nieszczęściami rodziny Służków dotknięty, chciał tego łagodnie dokonać i wybrał następcę z tegosamego rodu, Kazimierza Służkę, Podkomorzycę Lidskiego, czyniąc go Starostą Borysowskim z warunkiem, że po jego śmierci ten chleb *bene merentium* bezspornie i bez żadnych zachodów na korzyść własnego potomstwa czynionych, dostanie się sierocie po staroście Stanisławie. Podkomorzycę, który był nieboszczykowi od stryjecznych stryjecznych, przyrzekł to królowi sercem szczerem, bo był młodzieniec uczciwy. Wiekem mało co od starościca Stanisława starszy, przypominał go nawet bardzo rysami familijnymi, tylko że niższy wzrostem i trochę przysadzisty, w barkach szeroki i płci sniedszej, nie miał takiej postaci i urody szczególnej, jak tamten. Ale oczy niebieskie, piękne i szlachetnego wyrazu, były jak u tamtego, to też, gdy przywilej królewski na starostwo otrzymawszy, musiał się przed p. starościna z tem stawić, matka nieboga nie mogła wstrzymać łez, które jej na lica potokiem popłynęły. Starościcowa przytomności jego w pierwszej chwili znieść nie mogła i musiała ciężko ze sobą walczyć, aby ten krewny mąż, który w drażliwej sprawie bardzo uczciwie sobie postąpił, i przyrodzonym opiekunem jej synka się wyznawał, nie miał przyczyny do urazy. Zwyciężyła się też za drugą p. Kazimierza bytnością, zwłaszcza, że mały Jaś szczególnie do niego przylgnął a podkomorzycę z niekłamanem wzruszeniem p. starościcowej powiedział, że się względem jej dziecka czuje, jakgdyby jego ojciec był mu bratem rodzonym.

Starościna, która p. Kazimierza za ledwie znała, bo młodym wyrostkiem, widziała go raz ostatni, polubiła go wkrótce — polubiła za to może, że Służka też był, i że nie obcy przychodził teraz opróżnione po Służkach miejsce zabierać. Król w przywileju na dane mu starostwo zastrzegł, aby cała krestencya, jaką nowy starosta na polu zastawał, do wdowy należała, a p. Kazimierz i tu bardzo *honeste* postąpił sobie. Nie chciał zamieszkać w żadnym folwarku starostwa, aż do czasu zbiorów, poczynionych przez rękodajnych starościny; że przecież dla spraw urzędu swego powinien był gdzieś blisko się znajdować, więc w starym zamku na wyspie się osiedlił: w niskich, choć obszernych komnatach z powalą o małych oknach, mając wokoło smutny jesienią plusk wody, a zimą, która nadciągała, pas lodów i świszczące ponad niemi wichry północne. Ale sam tak sobie wybrał. Wiosną miał w jednej z wiosek starostwa dwór na rezydencyą swoją wyporządzić, i uczynił to nawet, niemniej z zamku staroego się nie ruszał — było mu ztąd blisko do Dziewoszyc...

Bywał tam często, małego Jasia na kolanach huśtał, p. starościna, jak matkę z uszanowaniem największem w rękę całował, lecz do starościcowej ledwo się zbliżyć ośmielił. Patrzył na nią jak na obrazek święty, do którego była też podo-

bona, małdonny włoskie ślicznem swem licem przypominając. Gdy na niego czasem oczy podniosła, dziękując za Jasia, któremu zabawkę zwoził i sam na zabawkę mu się nieraz oddawał—kraśniał cały. Słodki wdzięk jej smętnego, rzadkiego uśmiechu wyrwał mu serce z piersi, sto razy byłby jej do nóg padł, ale nie śmiał i drugi już raz za jego pobytu w tej okolicy śnieg pruszyć zaczął, gdy starościnnie się przyznał do uczuć swoich. On by sierocie najtkliwszym ojcem się stał, po ojcowsku go chował i, nawet własne dzieci mając, jego interesu przedewszystkiem pilnował, gdyby go p. starościcowa na przyjaciela dożgonnego wzięła chciała. Był krewnym nieboszczyka, był Służką także i jeżeli nie ma młodego życia na wieczną samotność i wdowią żalobę skazywać, jemu los swój i syna najbezpieczniej zwierzyć mogła.

Starościna była kobietą mocnego serca i pokazała hart jego, stając po stronie pragnień p. Kazimierza. Czuli, że się już starzeje, że lada dzień może pójść tam, gdzie wyprzedzili ją najdrożsi jej sercu: a co wtedy stałoby się z tą kobietą, gołębiej natury i dzieckiem osieroconem? Ojciec p. starościcowej już też nie żył, i pięciu jej braci: pięciu krzykliwych, zawadyackich szlachciców, już teraz dopytyjących się ciągle o opiekę nad siostrą, opadłoby ją i rozerwałoby przedko majątek dziecka. Dać synowej opiekuna, dać wnuka pod straż lepszą, niżby nią być mogła rodzina matki, była troską dni i nocy starościny, to też uczyniła się orędowniczką żądań p. Kazimierza wobec synowej. Powiedziała jej prawdę, dla czego tego chce: powiedziała jej że obowiązkiem matki jest zabezpieczyć przyszłość dziecka, choćby przez ofiarę, przez gwałt zadany uczuciom własnym. Synowa odpowiedziała świekrze potokami łez, nie dla tego, aby p. Kazimierz był jej przez coś wstrętny, ale że w sercu jej był inny obraz—niezapomniana miłość! Nie mogła już pokochać nikogo — nie mogła! Całowała kolana świekry, prosząc, że ona pójdzie do klasztoru, a syna na opiekę p. Kazimierzowi zda, ale starościna, tuląc sobie do serca tę wierną, stałego uczucia istotę, nie dała jej jednak przy takich zamysłach trwać.—Matką jesteś... matką jesteś i obowiązkiem świętym dla dziecka twego masz—mówiła, aż wymogła, co chciała. Miłość nie miała w oczach dawnej kobiety takiego najwyższego prawa i znaczenia, jakie posiada dziś; obowiązek stał górą i panował po nad nią, więc nieboga schyliła głowę i uległa! Dwa razy zemdląca w dzień ślubu; niemniej poszła przed ołtarz i przysięgła panu Kazimierzowi wiarę i miłość do śmierci.

Ale czyż mogła ze świekrą się rozłączyć, czy mogła z całą przeszłością się rozstać? Ona, jak Rut, była by poszła na kraj świata za Noemi, służyć jej i samotną zimę jej starości miłością swą ogrzewać, to też i mąż tego po niej nie wymagał. Mógł teraz w Dziewoszycach jako w majątku żony i pasierba zamieszkać, starościna tego chciała i tak się stało. Dla tej, która tu dotąd żyła w kole wspomnień przeszłości, było to boleścią nad boleściami nowe życie wśród tych samych miejsc z innym zaczynać, ale jej ciche, przez nikogo nie widziane łzy, wsiąkły w poduszkę, na której jej głowa spoczywała bezsennie za ostatnich nocy jej wdowieństwa. Gołębicą to była, gołębicą i nie śmiała swoich cierpień, udręczeń swego serca kłaść na szalę, przeciwstawiając chęci innych. Poddawała się i w tem; wkrótce też stało się tu tak, jak się dzieje zwykle, jak może nawet powinno się dziać na świecie: teraźniejszość rugowała przeszłość i rozsiadała się na jej miejscu, jak zwycięzca zajmuje obozowisko zwyciężonego. Co upada—przepada: życie z prawami nowymi przychodzi się krzewić na zgłiszczach, i tylko smutna wierność podlewa łzami kwiaty pamięci, które tu sieje. Tak było w Dziewoszycach: w starym domu dawnych Służków zapanował nowy Służka.

Ale było to panowanie uczciwe. Człowiek był dobry i nie skłamał nic z obietnic uczynionych przed ślubem. Starościnnę nazywał matką, i gdyby matce mógł kto syna straconego zastąpić, byłby go jej niezawodnie zastąpił; chciał tego przynajmniej, tak jak chciał być najlepszym ojcem dla sierotki. Pieścił Jasia, psuł prawie, miał dla

niego uczucie rzeczywistego przywiązania, a w sprawach majątkowych rządził się najsumieniejszą skrupulatnością. A jak kochał żonę! jak Marysię swoją uwielbiał! jak mógłby być na kłęczkach codziennie jej to mówić!...

I długo, długo człowiekiem delikatnym na kłęczkach prawie przed nią był, o trochę miłości, o trochę łaskawego skłonienia się ku niemu prosząc. Starościna matka dopomagała mu i w tem, przypominała niebodze, że ślubowała miłość.

I serce otworzyło się powoli dla uczucia, które nie było już tym dawnym, pierwszym jego kwiatem, różą, która zakwitła w czarownych chwilach młodej wiosny, ale niemniej było to uczucie tkliwe i szczere. Żona przywiązała się do dobrego męża i w drugim roku po ślubie znów urodził się w Dziewoszycach dworzec syn.

Ojciec nie posiadał się ze szczęścia, ale matka oblała tę drugą swoją dziecinę gorącymi łzami. I ją kochała inaczej, jak pierwszego synka—inaczej. Musiało tak być!

Jaś okazał się niezmiernie zazdrosnym o brata. Z początku szczególnie nie dał matce wzięć go na ręce: płakał, krzyczał, ciskał się o ziemię, gdy to widział.

Ten drugi przybysz mały nie dostał też na pierwszy pokarm życia mleka piersi macierzyńskiej. Pani Kazimierzowa była na to za słaba, za nikła, i zdrowa, silna młodyca karmiła paniczka. Starsza pani wzięła dziecko z mamką do pokoi swoich, Jaś przecież sypiał zawsze w pobliżu matki, w niedużym alkierzyku, który się znajdował obok sypialni starostwa. Dawna jego piastunka, Motruna, mieszcila się tam z nim. Nad głową dziecka wisiał portret jego ojca; piękny i niezmiernie podobny, malowany przez jakiegoś Włocha. Jaś wiedział, kto to jest, bo matka mówiła mu często o ojcu, opowiadała że był pięknym, pięknym rycerzem, nie dodając przecież nic więcej, aby nie wzruszać dziecka, bo gdy raz Motruna powiedziała mu, że jego ojciec leży pod ziemią, w grobie, rozplakał się bardzo i uspokoić się długo nie chciał. Babka, aby go pocieszyć i utulić, powiedziała mu, ocierając łzy, że ojciec tam śpi cicho, ale zbudzi się, skoro Anioł Boży ukaże się na niebiosach i zawoła na żywych i umarłych, aby wstawali.

Od tego czasu Jaś pytał się ustawicznie, czy Anioł ów uczyni to prędko — czy prędko obudzi tatę?

Ojczyzna nazywał stryjem i kochał go bardzo. Nieraz i jego pytał, kiedy tatko wstanie z grobu i przyjdzie do nich?

Pan Kazimierz głaskał główkę dziecka, ale zawsze wtedy doświadczał uczucia niewymownie przykrego, jakgdyby to nie śmierć, ale on rozdzielił ojca z dzieckiem, i męża z żoną.

Życie płynęło tymczasem nieprzerwaną falą, jak woda Berczyny, nadchodził rok Pański 1689 i z wilią Bożego Narodzenia, która przyszła w kole dni, skończyło się lat osm, jak syn miłośnie, radośnie witany przybył do rodzicielskiego domu i z zarumienioną Marysią Swidówną podzielił oplatek i serce. Dziś była ona żoną innego, matką dziecka nowego rodu i zapłakała też, gdy przyszła uroczysta godzina. Było jej dziś ciężiej na sercu niż kiedy, i gdy Jaś przybiegł do niej z oplatkiem i za suknią ciągnąc wołał, aby się z nim łamała, ona schyliwszy się ku niemu tak wybuchnęła płaczem rzewnym, że aż p. Kazimierzowi zrobiło się markotno. Ale wypila szklanek wody i uspokoiła się, siadła do stołu, ksiądz proboszcz, tensam, co za owych dawnych czasów, rozmowę zagaśli, był i jeden z sąsiadów, a trochę krewny Służków, który p. Kazimierzowi družbował i teraz często do niego zajeżdżał, bo o jedną ze Służczanek się kręcił, więc wrażenie niemiłe zatarło się, gdy nagle psy zaczęły na tyłach dworu, od strony ogrodu ujaść. — Czy nie wilka poczuły? rzekł ksiądz, ale umilkły naraz i tylko pod oknem jadalnej komnaty zaskomliły tak, jakgdyby się radując, witając kogoś znanego, a młoda pani starościna krzyknęła: —Ktoś zajrzał w okno! zawołała drząc cała—widziałam...

Stan jej nerwowo tłumaczył ją, że mogła odbicie światła na szybach wzięć za widzenie, ale i to podziało na biesiadników niemiło. Może duch nieboszczyka starościca?... pomyślał niejeden i nawet ksiądz powiedział sobie w duszy, że za-

raz po Świętach mszę za spokój jego duszy odprawi.

Jaś tymczasem, który przy stole na wysokim krzeselku też siedział, zapytał nagle:—A czy to nie dziś anioł z grobów budzi i wstawać każe? Może to dziś, stryjkę?...

Ksiądz, obok którego dziecko siedziało, położył mu rękę na głowę.—Nie dziś, kochanku, dziś się tylko Jezus Chrystus o północy w żłobku narodzi.

— Wiem — odparł mały—Motruna mi powiadała.

Zamyślił się nad tem smutnie, kiedy przyjdzie dzień zmartwychwstania, i cicho do końca wili przy stole siedział, lecz w kilka godzin potem, kiedy starostwo kościoła, z Pasterki powróciwszy, do sypialnej komnaty weszli, on nagle z alkierzyka swego zawołał:—Mamo... tatka tu był... Anioł go obudził i przyszedł.

Za żoną, która rozpaczliwie krzyknęła, do dziecka biegnąc, poszedł i pan Kazimierz, Jaś był sam, Motruna gdzieś go odeszła i leżała, mając policzki rozrumienione, oczy błyszczące jak w gorączce.

— Tatka tu był... powtarzał uparcie — wszedł z tamtego oto pokoju — pokazał paluszkami drzwi sali na ogród wychodzące — i przyszedł prosto do mnie. Ja się zląkłem, bo tatka był bardzo błydy i miał starą opończę. Zamknąłem oczy, ale wiem że stał przy moim łóżeczku. Potem się schylił i pocałował mnie tu... w czoło. Miał takie zimne usta....

Nieszcześnie kobieta szlochała, pan Kazimierz czuł się bardzo zmieszany, choć potem, co było przy wili, mogło się dziecku bardzo naturalnie przyśnić to wszystko, jakkolwiek Jaś opowiadał bardzo szczegółowo i dodawał, że Motruna była wtedy w pokoju. Stała koło pieca i ocierała łzy zapaską.

Wesła ona ona na tę opowieść i zbladła jak chusta. Jaś zwrócił się teraz do niej, wołając: czy nie prawda co mówi? Czy tatka w pokoju nie był, nie stał przy łóżku, nie pocałował go? Motruna wołając: —Ach hołubku, hołubeczku mój, co ty sennie gwarzysz?... dała jednak p. Kazimierzowi znak, na który teraz on śmiertelnie zbladł. Pani Starościnnie, która też w kościele, jak cały dwór, była i teraz już się kłaść w łóżko miała, a tylko usłyszawszy głosy, z przestachem przybiegła, oddał żonę, pod siłą wzruszenia upadającą, Jasia uspokoił tem, że jeżeli tatka rzeczywiście tu był, to jatro rano powróci, i na koniec sam z Motruną się znalazł, aby usłyszeć, że dziecko nie marzyło, i że p. starościna rzeczywiście twarz ludzką w oknie widziała!

Starościc był w niewoli, bardzo, bardzo daleko, i dopiero przez księży Trynitarzy wykupiony, do domu wracał, aż naraz, Dnieprem płynąc, dowiedział się wszystkiego. Spotkał bajdak z pod Borysowa i dowiedział się!...

Rozpacz go ciężka zjęła i nie chciał już nic od tego świata, dla którego umarł: nie chciał się do imienia, majątków wracać. Postanowił do Trynitarzy wstąpić i tylko chciał raz jeszcze miejsca dawnego szczęścia, żonę i dziecko oglądać. Gdy go przestraszony krzyk jego niebogi Marysi spłoszył, cofnął się w zarośla ogrodowe i dopiero, północy się doczekawszy, gdy wszyscy, prócz nianki przy jednym, a mamki przy drugim dziecku pozostałej—do kościoła na pasterkę pojechali i poszli, on sobie znajome drzewiczki od sionki, z ogrodu wodzące, otworzył i jak dusza pokutująca, która pamięta dobrze miejsca, gdzie za życia przebywała: kochała, działała, radości i ból czuła, szedł prosto, gdzie chciał, zapukaniem we drzwi dając najpierw przeleknionej kobiecie o sobie znać, a potem dopiero jej oczom się objawiając. Dziecko się znać obudziło, gdy ona przy zaklinaniu go, aby nie odchodził, płaczu wielkiego wstrzymać nie mogła. Czoła synka swego ustami, leciuchno tknęła i — poszedł. W ciemność, w noc, w mroźną zadymą śniegową poszedł, jak duch.

P. Kazimierz myślał czasem, że może i Motruna marzyła, lecz na drugi dzień po Nowym Roku przez posłańca z daleka już, bo z Hacı, od Benedyktynów przysłanego, list otrzymał. Starościc pisał do niego sam: w Anatolii aż w niewoli był, ledwo teraz z niej uwolniony wracał; ale już było

zapóźno na to, aby dawne życie przyjęło, wytrąconego raz z kolei. Wiedział wszystko dokładnie, jak krewny jego uczciwym był, jak własna matka zmusiła jego żonę do drugiego małżeństwa, więc cóż mu czynić zostawało? Czy nieszczęśliwą kobietę zjawieniem się swoim zabić miał, dziecko jej drugie nazwiska pozbawiać i dla niego jednego tyle serc rozedrzeć, istnień zburzyć? Ci, którym był drogi, już stratę jego przecierpieli i nie powróci też jak zmora, aby im z piersi serdeczną krew wyssać. Syna swego pod opiekę starosty oddawał i żegnał go nazawsze. Trynitarzem zostanie i pójdzie takim jak on nieszczęśliwym ciężką dolę słodzić. Umarli nie wstają...

P. Kazimierz natychmiast do Hacı jechał, ale się o starościcu nie dowiedział nic zgoła—pod pieczęcią spowiedzi komuś tu, może przeorowi samemu, tajemnica zwierzoną została, nie mogła zatem być wydana.

Cichy szept po okolicy jednak szedł, coś ktoś zasłyszal od flisaków, ktoś był taki, co pieszczoł wędrowca w starej oponcy spotkawszy, aż drgnął, tak go podobnym do starościca Służki znalazł, a stróż dworski w Dziewoszycach przysięgał, że w Wilią Bożego Narodzenia ducha jego widział, zastanawiając się nad tem jednak, że było to przecie przed północą jeszcze.

Mimo to, wszystko zostało podawnemu, tylko zaszła pewna zmiana w stosunku p. Kazimierza do żony. Po okrutnem przejściu z owem nieszczęsnem widzeniem Jasia, ona nieboga nie mogła się złożyć dzwignąć dni kilka i on ztąd okkazywał, aby się z jej pokoi usunąć dla nieprzeszkadzania w czemślabej. Gdy sprzęt jego z małżeńskiej komnaty ruszono, jemu lży w oczach stanęły, wzrokiem ciężkiego żalu i tęsknoty miłosnej spojrzal na bladą postać, wśród białych poduszek leżącą, ale człowiek uczciwy nie mógł uczynić inaczej. Ta, którą żoną swoją nazywał, miała przecie męża, któremu dożgonnie ślubowała i on mógł przy niej pozostać tylko jako przyjaciel i opiekun wierny.

Jasia, niby dla edukacyi już mężkiej, do swojej komnaty wkrótce potem wziął, i ludzie dziwili się niezmiernie, że zdaje się kochać go więcej, niż syna własnego. Często bywało, że jadąc gdzieś niedaleko, na konia go ze sobą brał, czasem zimowym tak go pod futro swoje chowając, że ledwo wyglądała głowa jasna, z włoskami tak się w pierścieniu wijącami, jak wily się niegdyś na głowie innego chłopięcia, który po tychsamych ścieżkach ogrodu, po tychsamych pokojach staroego dworu biegał: kochany, pieśczone, strzeżony jak oko w głowie ojca i matki, a kędyż był teraz człowiek, z tego szczęśliwego dziecka wyrosły?

Raz, przeszło już w rok po owej pamiętnej wili Bożego Narodzenia, tak się zdarzyło, że p. Kazimierz krótkim dniem zimowym zapóźniwszy się nieco w gorzelnii, wracał do domu z Jasiem już o zapadającej nocy. Gwiazdy występowały, na niebo wypogodzone i cisza wielka panowała do koła, aż chłopiec ozwał się naraz głosem smutnym:—Stryku! ja tak ciągle a ciągle patrzę, czy niema tego anioła co z martwych budzi, ale go nie widać....

Pan Kazimierz dziecko lepiej w futro owinął i przytulił do siebie; koń szedł stępa a oni obaj patrzyli w gwiazdy. Gdy do domu przybyli, pan Kazimierz znalazł list, także za pośrednictwem Benedyktynów z Hacı mu przysłany, lecz pisany aż z Jas. Donoszonu mu, że brat Stanisław, który w 1689 r. do zakonu Trynitarzy wstąpił, umarł, oddając Bogu ducha pochrześcijańsku: cicho i pobożnie i przez braci swego zgromadzenia przystojnie pochowany został. Przed śmiercią prosił, aby wiadomość o jego zgonie dano p. Staroście Boryowskiemu, z którym był znajomy dawno.

Nazajutrz p. Kazimierz przyszedł z tem do pani starościny starszej i młodszej, że chciałyby za duszę nieboszczyka starościca nabożeństwo żałobne odprawić, bo mu się śnił—prosząc o to. Odprawiły się exekwie swięte, nitylko z wielkiem zjadem księży swiętych, ale i duchowieństwa zakonnego, bo poproszono na nie Dominikanów z Chotajewicz i Benedyktynów z Hacı. Po powrocie z nabożeństwa do domu pani starościna młodsza przysłała do męża i z oczyma, w których lży drżały, pocałowała go w rękę, dziękując mu. On już

wtedy wytrzymać niemogąc, otworzył ramiona i miłownie ją sobie do piersi przycisnął.

Powoli, powoli małżeństwo zbliżyło się znów do siebie; dał im Pan Bóg jeszcze dzieci dwoje i kwiat słodkiego szczęścia, choć spóźniony, rozwinął im się nareszcie. Na samotnym grobie w Jasach rosły może piołuny dzikie....

Ale tak być musi: dola niedola musi się ważyć, życie iść, i wybierać ofiary swoje—na ziemi musi być miłość—i zapomnienie!

Z tego się rodzi tęsknota duchów ludzkich do Boga—do gwiazd w błękicie.

Marya Ilnicka.

RUCH MUZYCZNY.

Odczyt p. Kleczyńskiego w Resursie Obywatelskiej — Występ skrzypka Dangremont'a w Towarzystwie Muzycznym.

Odczyty p. Jana Kleczyńskiego, według tego jak zatytułowanie ich oznajmowało, posłużyć miały do zapoznania szerszej publiczności z dziełami Szopena, oraz do trafniejszego ich pojmowania. Prelegent podzielił swą pracę na rozdziały, traktujące o Nokturnach, Balladach, Polonezach i Mazurkach; chciał prawdopodobnie, na wybranych dziełach, wytłómaczyć ich właściwości, zalety, oraz sposób wykonywania. Jak widzimy, projekt był chwalebny i bardzo potrzebny; gdyż zbyt dowolne wykonywanie dzieł Szopena, często, tylko na własnych a nie dość ukształconych upodobaniach grających oparte, staje się parodią tego, czem być powinno.

Prelegent nie wypełnił jednak tego programu w sposób odpowiedni, albowiem, odbiegając fantastycznie od przedmiotu, gubiąc się w niedość ścisłych definicyach, lub w tłómaczeniu poetycznem, ukrytych myśli, które poprzedziły twórczość autora—tak zawikłał sam przedmiot, tak mało powiedział o wykonywaniu dzieł Szopena, że ostatecznie dla słuchacza stało się wątpliwem, o czem mianowicie prelegent miał mówić: czy o własnych pojęciach o sztuce w ogólności i wrażeniach, które odbiera, słuchając muzyki Szopenowskiej, czyli też o samych dziełach?

Z wielu dowodzeń ubocznych, które pan Kleczyński włączył w swój odczyt, przytoczymy chociaż jedno. Twierdzi on, że muzyka, na podobieństwo innych sztuk pięknych, może być programmatową, że może na tle realnych pomysłów i obrazów, urobić swoją formę i charakter. Zgadza się na to dowodzenie w założeniu, lecz nie możemy przyznać, by w dalszem rozwinięciu zdanie to nie było przesadzonem. Muzyka nie jest zdolną tak dokładnie przedstawiać te obrazy, subtelnie tłómaczyć każdą myśl, jak inne sztuki; ona oddziaływa więcej ogólnie na nasze uczucia, co właśnie stanowi jej potęgę i urok. Jeżeli zaś, idąc za zdaniem prelegenta, chcemy ją zmuszać do oddania nam tych obrazów, które ją uformowały, do tłómaczenia pojedynczych szczegółów myśli, do naśladownictwa realnego, oddźwięków natury, lub drobnych życiowych faktów—wtedy nitylko, nie podnosimy jej znaczenia, nie czynimy jej rozumialszą, lecz, przeciwnie, kępujemy ją, zaciemniamy, sprowadzając na niewłaściwe drogi. Tak więc, dociekanie, choćby najtrafniejsze: jak myśl lub obraz wzięty z natury wywołał natchnienie autora, nie pomoże do dobrego oddania dzieła muzycznego, jeśli prócz tych wskazówek wykonawca nie będzie miał wykształconego poczucia piękna, przenikliwości duchowej, oraz nie będzie wtajemniczonym we wszystkie prawa sztuki, by mógł mglistą wyobraźnią treści zamienić na głębokie odczucie charakteru i odnaleźć ją dopiero w każdym szczególe, składającym daną całość.

Mamy przekonanie, że zarówno niedostatecznemi wskazówkami były i te, które prelegent chciał szczegółowo zaznaczyć wybrane przez siebie dzieła do analizy. Przedewszystkiem, oderwane, po kilka taktów, przykłady, wykazanie jakiegoś akcentu lub frazowania, naznaczenie tempa pojedynczego ustępu, nie mogły dać wyobrażenia skończonego o charakterze i sposobach wykonania całości; określenia ogólnikowe, że to jest piękne, to ładne, a to charakterystyczne lub wznio-

słe, także nie wiele nauczą, jeżeli nie wykaże się: dlaczego tak jest, i na czem to piękno polega.

Pan Kleczyński przytem pominął zupełnie określenie nowych form muzycznych, które Szopenowi zawdzięczamy, a które tak ważną grają rolę w charakterystyce dzieł jego; zapomniał zwrócić uwagę słuchacza, na typowość passaży, które same przez się byłyby dostatecznemi do zaznaczenia jego oryginalności; nie wykazał ważności zachowywania właściwego palcowania, która nieraz, mając pozór dziwactwa, jest jednak głęboko obmyślanym efektem: słowem, zamiast poetycznego fantazyowania i dociekania co Szopen chciał w swych dziełach wyrazić, zamiast oderwanych przykładów drobnych szczegółów, szkoda, że prelegent nie wykazał odrębności stylu Szopena, a wykończonem wykonaniem, choćby po jednym całkowitym utworze z każdego działu kompozycy pomieszczonych w programmacie odczytu, nie dał nam wzoru, jak trzeba grać te arcydzieła, których tajniki zgłębił.

W ubiegłym tygodniu Towarzystwo Muzyczne dało swym członkom możność usłyszenia znakomitego skrzypka Dangremont'a. Młody, osmnastoletni wirtuoz zdziwił słuchaczy swą wykończoną techniką, wyrobieniem smaku estetycznego, wielkością uczucia, i co więcej, panowaniem nad sobą samym. Spokój towarzyszący mu ciągle ma coś nadnaturalnego w sobie, tembardziej, gdy weźmiemy na uwagę młody wiek artysty, zazwyczaj skłonny do uniesień i porywów nerwowych. Można sądzić, że Dangremont, przez pracę nad sobą, doszedł do tej wielkiej umiejętności, by, potracając silnie struny wrażeń w słuchaczach, samemu nie dać się unieść za daleko. Tej grze mistrzowskiej brak tylko siły tonu, by stanąć na najwyższym szczeblu doskonałości: to też dzieła, które wymagały tej potęgi brzmień dramatycznych lub werwy błyskotliwej, nie były dla wirtuoza odpowiedniem polem popisu; natomiast znakomicie były wykonanemi te, w których liryzm przeważał, jako to: *Andante* z koncertu Bruch'a, *Taniec hiszpański* Sarassate'go.

Juliusz Statler.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 6 Grudnia 1883 r.

Uspokojenie polityczne we Francyi.—Pan Zygmunt Krzyżanowski (Lacroix) w izbie Deputowanych. — Maiden Speech i burmistrzostwo paryzkie. — Jeszcze pani Remusat i jej listy. — Korespondencya prywatna Ludwika Veuillota. — Charakterystyka tych listów i ciekawe wyciągi. — Koniec roku. Kosztowne i ozdobne wydania. — Album ilustracyi do dzieł Alfreda de Musset. — Reprodukcy akwareli Eugeniusza Lamy. — Oprawa książek we Francyi. — Artystyczna strona tego rzemiosła. — Ostatnia powieść Zoli Nats Micoulain. — *Smutki i uśmiechy* Gustawa Droza.

(Dokończenie).

Syna tego znaleźmy osobiście: starym dyplomatą i osiwiłym akademikiem. W epoce korespondencyi z matką, kształcił się on na prawnika, ćwiczył się w dziennikarstwie, które go zaprowadziło do Izby Poselskiej, do politykowania z Thierssem i Liberalnymi owego czasu, a ostatecznie do filozofii z którą wszedł do Akademii Francuskiej, jako następca Jouffroy i Royer-Collarda.

Matka—to kobieta światowa, ale przytem pani o błękitnej pończosze, rozumna i pełna wdzięku—Francuzka, w całym znaczeniu tego wyrazu, Paryżanka i literatka. W 1824 roku wydała znane swe dziełko: *Essai sur l'éducation des femmes* (miała wówczas przeszło lat 40). Jest to jeden z tych literackich płodów, gdzie przy najlepszych chęciach autora znajdujemy wyborną formę, niesłychane utopie, poszukiwanie efektu przy zupełnej nieznajomości praktycznej przedmiotu. — Właściwie są to marzenia o wychowaniu kobiet.

Tę pośmiertną korespondencyą matki z synem, o którą rzecz idzie, przechwalono też zbyt znacznie w tutejszej prassie—przechwalono, trochę na wiarę dawnej reputacyi matki i syna, a trochę przez ducha stronnictwa. Sądy, jakie w tych listach spotykamy o ludziach i rzeczach owego czasu, ze strony matki są zbyt lekkie i naciągane do jakiejś konieczności stylu i do warunków życia. Pani de

Remusat mieszkała w owym czasie w Tuluzie, gdzie mąż jej był prefektem rządu Restauracji. Ze strony syna, te sądy są nacechowane jakąś wyszukaną oschłością i jakby wymuszonym zwątpieniem.

Matka w swych listach ma widocznie jedno tylko na względzie: zbliżyć się ile możności do swego ideału pisarskiego, do p. de Sévigné. To naśladowanie sławnej stylistki wieku XVII udaje się jej czasem; ale znać zawsze, że to jest kopia tylko: a to usiłowanie, aby się podszyc pod głośną i wybitną osobistość, — zaciera wszelką oryginalność i odejmuje tym listom ów charakter osobisty, poufny, stanowiący jedyną zaletę korespondencji prywatnej. Pani de Remusat, jak nieboszczyk Buffon, naturalista, zasiada do pisania w żabotach i koronkowych zarekawkach.

A listy! listy! Z nieboszczykiem Ludwikiem Veullotem dopiero wchodzimy w prawdziwy i ciekawy świat listów... Tu dopiero swobodne pióro leci, pryska i bryzga... a nigdy nie idzie skosem, a zawsze czuć, że leje życie i światło. Ja proszę was tym moim zachwytem się nie dziwić — tak namiętnie kocham się w listach, ma się rozumieć, w dobrych, że je całe me życie przenosił nad wszystko...

Wiktor Palmé, wydawca, ogłosił dwa tomy korespondencji sławnego *redactorrimusa* dziennika *L'Univers*, — korespondencji z bratem Eugeniuszem i siostrą Elizą. Korespondencya z bratem rozpoczyna się z rokiem 1838. Był to czas owej pamiętnej podróży Veullota do Włoch, o której już wam powiedziałem sporo w liście, gdzie była rzecz o jego życiu, pismach i śmierci... I on też „szukał swej drogi” ten szermierz, któremu zapal polemiczny rozpierał piersi — i szedł tam, do Rzymu, do źródła, aby się zahartować do tej walki 30-letniej w sprawie Kościoła i Wiary — walki, w której gwałtownych zapasach dostało się nieraz i kościelnym naczyńm.

Obydwaj bracia byli wówczas młodzi: Ludwik, miał lat 22, Eugeniusz 20; ani jeden, ani drugi, nie byli świętymi — dziennikarzem w potrzebie a kapitaliści w sperandzie.

Otóż starszy, w powrocie z Rzymu, zahaczył o Freiburg, gdzie był wówczas sławny zakład Jezuitów, i tak pisał do młodszego, d. 9 Lipca 1838 r.

„Papież radził mi czytać Żywoty Świętych; poszedłem za jego radą i jestem zadowolony niezmiernie. Ufnosć w Boga! Ojciec Geoffroy mi mówił: „Gdybyś przypadkiem potrzebował kałwalki książęca, prosz go o to śmiało: nie ma powodu, aby ci tego odmówił... Mów jak Św. Teresa, która woła swoją jedynie potrafiła poruszyć Hiszpanią i świat cały; Veullot i jego chęci, to — nie; ale Veullot, chęć zacna i Pan Bóg — to znaczy wiele!” Wychodząc z tej zasady, zaraz wczoraj, śmiało i po raz pierwszy, użyłem mojego prawa, prosząc Pana Boga, aby ci pomógł w twoich interesach — i liczę na to tak pewnie, że ci to najprzód powiadam...”

„Dziękuję ci — pisze do tegoż samego brata Eugeniusza — za twoją zacną ofiarę. Używaj sam twoich pieniędzy. Po powrocie do Paryża zostanę mi jeszcze w kieszeni, jakie dwa lub trzy ludwiki; otóż, jestem teraz takim człowiekiem, że mogę tem wyżyć przez dni kilka... Véfour i Véry (sławne restauracje w owym czasie), są teraz tak daleko od ulicy de Lille (ulica, przy której miał wówczas swoje mieszkanie) — jak ztąd do Kalikuty. Chciałbym, aby w twojej głowie znalazło się trochę więcej łaciny, i zrobiłbyś mi wielką łaskę, gdybyś się wziął gorąco do jej początków... Zaprzestałem być pisywać do dziennika *L'Univers*; okoliczności, które spowodowały tę przerwę, nie istnieją już dzisiaj: rozpoczynam więc nanowo moje współpracownictwo w tym dzienniku, którego duch mi się podoba, i którego dążności znam i szanuję. Redaktorowie jego — wszyscy są moimi przyjaciółmi; ludzie zacni, bezinteresowni, prawie wszyscy młodzi, i jak ja, ubodzy. Prowadzą oni to dzieło bezpłatnie i z takim przekonaniem i poświęceniem, iż jednego żałują jedynie: braku pieniędzy, aby je mogli dać dziennikowi wraz z owocami swej pracy!”

Z powodu, że to jest koniec roku, handel silniej niż kiedy produkuje na literackim polu. Jest to zwykle epoka ozdobnych wydań, drogich książek, jeżeli nie dla wewnętrznej wartości, to ze

względem na piękną, bogatą i artystyczną szatę. Illustracje wielką tu odgrywają rolę. W ogromnej ich liczbie, nie bez tego, aby się nie znalazło prawdziwie pięknych i godnych uwagi. Takim jest, na przykład, nowe wydanie dzieł Alfreda de Musset, a raczej album nowych ilustracji jego poezji.

Nie brakło wprawdzie ilustracji temu poeci! Ozdabiali jego poezje, i z wielką sztuką, Bida, Pille i t. p., ale dziś chodzi o szczególną, wyjątkową ilustrację — o reprodukcję akwarelli i rysunków, wykonanych niegdyś, przez jednego z mistrzów w tem rodzaju, przez słynnego akwarellistę Eugeniusza Lamy. Związany ściśle przyjaźnią z poetą, Lamy wykonał te rysunki pod okiem i w przytomności Musset'a: jest to więc dzieło wspólnego geniuszu.

Znany w Paryżu, wydawca artystycznych publikacji, otrzymał od panny Denain, artystki niegdyś Tetru Francuzkiego, cały zbiór oryginalnych i wspaniałych akwarelli, wykonanych jakieśmy mówili, przez Eugeniusza Lamy. Są to prawdziwe arcydzieła w swoim rodzaju; to też panna Denain udzieliła tylko wydawcy pozwolenia na ich reprodukcję. Wykonano ją z największą doskonałością i ścisłością artystyczną. Nietylko więc Musset, nietylko jego poezje, ale cały świat jego żyje i, pełen blasku, staje przed nami... Jakąż szkoda, że cały przepych, cała świetność kolorytu, znakomitego akwarellisty, nie mogły zajaśnieć na tych kartach...

Mówiąc o wytwornych edycjach, nie mogę też zamilczeć o świetnej i pięknej oprawie wielu z tych książek. Artystyczna i doskonała oprawa książki, u nas prawie nieznaną, we Francji zajmuje ważne bardzo miejsce. Nigdzie też na świecie oprawy książek nie posunięto do tak wysokiej doskonałości i piękności jak tutaj — mówię tu o oprawie rzeczywiście artystycznej. Są oprawy książek, z czasów Ludwika XIV, XV i XVI, których wiadome ceny, dziś w handlu, są prawie bajeczne. Intro-ligatorowie owi, są cenieni na równi ze sławnymi snycerzami, lub rzeźbiarzami. Byli to mistrze i prawdziwi artyści w swoim rzemiośle. Wyroby ich są tak rzadkie, jak najrzadsze przedmioty sztuki — i książka skutkiem tego, jest często podwójnie białym krukiem: i jako książka, i jako oprawa. Tradycja tego rzemiosła — dawnej sztuki, została tu dodziśdnia. Mamy tu dwóch, czy trzech, introligatorów, których oprawy zalecają się szczególną doskonałością i artystyczną pięknoscią i opłacają się też stosownie. Są tu znajomi świata miłośnicy, zbieracze, do których biblioteki, żadna książka nie wejdzie, chyba w oprawie jednego z tych majstrów nad majstrami... Najwięksi posiadacze tych osobliwości, są: książę d'Aumale, p. Rotschild... i któż jeszcze? — nie wiem, bo potrzeba być bardzo możnym, aby pozwolił sobie takiej fantazyi...

Z bieżącej belletrystyki mało tu jest do zapisania... Przepraszam! Oto tomik p. Zoli... Tu, gdyby Wielki Stefan się nie gniewał, możnaby powtórzyć, zmieniawszy trochę jego święte słowa:

Ani z roli, ani z Zoli...

Tomik nowy, ale skład jego już się produkował po dziennikach — w części więc znajomy... Książka ma tytuł: *Nais Micoulin* — imię własne i przedmiot jednej z sześciu powiastek, które weszły w skład tego tomiku; pozostałe są: *Nantas, Śmierć Oliviera Bécaillle'a, Pani Naigeon, Muszle p. Chabre'a, Jacek Damour*. *Nais Micoulin* jest nowa zupełnie, i dlatego dała swe imię książce.

Jest to rodzaj wiejskiej idylli, ale idylli w znaczeniu, jakie jej daje zwykle p. Zola — a więc idylli w sabotach — z całem zepsuciem wyniesionem z miejskiego rynsztoku, — zuprawnem grubym śmiechem i cynicznym słowem... {Rzecz tu chodzi, o zdurzałego chłopca, autokratę zpod słomianej strzechy, który, dostrzegłszy, że córka jego, imieniem Nais, pokochała się w bogaczem, człowieku, u którego on dzierżawi grunt i chatę, stara się go wszelkimi sposobami zgładzić, przekonany będąc, że tu nie może być kwestyi o małżeństwie z jego córką, lecz tylko o pokątnych miłostkach.

Wszystkie jednak zamiary tyrańcy w sabotach spełzły na niczem, a przecięcie tego gordyjskiego miecza spada na garbatego biedaka, rodzaj wiejskiego Quasimodo, nazwiskiem Toine. Ten, zako-

chany w pięknej Naisie, widząc ojca na przeszkodzie, postanawia zabójstwem pozbyć się straszego Micoulina. Jak widzicie, są to czyste i proste obyczaje sielskie: niewinność i uprzejmość, na każdej karcie oddycha — idylla jest kompletna.

Fryderyk — bogacz, wybrany kochanek Naisy, obcy zupełnie tej zbrodni, dowiedziawszy się o wypadku, schodzi spokojnie z placu i wraca na łono patryarchalnej rodziny; a tymczasem, ponieważ występek zawsze otrzymuje zasłużoną nagrodę u p. Zoli — gdy zbrodniarz tajemny nie został odkryty, garbaty a wyrozumiały na wszystko, Toine, żeni się z piękną Naisą. Na taką to miarę i w takim też tonie, jest i reszta powiastek tej książki. Gdyby tu Zoli nie było nazwiska nawet, możnaby się go domysleć.

Ale, otóż jest przecież książka, którą mogę polecić i zalecić z całą ufnoscią czytelnikom moim — obok zarazy, lekarstwo, i jakgdyby umyślnie napisana dla *Bluszczu*. Jest to zacne, pocziwe — a do tego zajmujące a pięknie i dobrze napisane dzieło. *Smutki i Uśmiechy*, taki jest tytuł nowej książki p. Gustawa Droza. Autor znany jest dobrze, tak się spodziewam, publiczności naszej z oryginalnej lub tłómaczonej jego humorystycznej powieści, pod tytułem: *Monsieur, Madame et Bébé*. Jest to jeden z najświetniejszych redaktorów pisemka: *La Vie Parisienne*, gdzie jego bystry zmysł spostrzegawczy, śmiałość i uszczypliwa ironia i pełen blasku talent pisarski, wysoko bardzo są cenione przez czytającą publiczność.

Te smutki i uśmiechy, — są to wspomnienia babuni. Stara pani baronowa Orchamp, kobieta wyższa, poważna matrona, zanim opuściła nazawsze świat i ukochaną rodzinę, pragnie im zostawić pamięć, i nawet za grobem trwające uczucie troskliwości, opieki i przywiązania — zostawić żyjący przykład — wspomnienia całego swojego życia, całej przeszłości.

I babunia opowiada całe swe życie. Dawne, lepsze czasy wspomina ze słodkim uśmiechem; wstrętną terażniejszość niejednę jej lęzę wy-ciska — dzieci i wnuczeta niezawsze odpowiadają ideałom lubej przeszłości: a przecież są tak drogie jej sercu! Wszystko to, jak w życiu, jak na jawie, przeplata się, to uśmiechem, to smutkiem; a każdy dzień, każda jego chwila starczy trudowi swojemu. Jest to tak prawdziwie, tak poludzką uczucie i napisane, że terażniejszość, ze wszystkimi swymi wadami i moralnymi brodawkami, znalazła tu również swe miejsce.

Z powodu tej terażniejszości, zarzucano autorowi, że przerysował najwstrętniejszą z brodawek babuni — politykę! A przecież jest to tak wiele prawdziwe... bo i gdzież dzisiaj polityki nie ma? gdzie? nawet w mirtowym wianku, nawet pod koronkową poduszką ją znajdziesz...

W jednym z tysiąca obrazków autor pokazuje nam babunię w buduarze. Jest sama ze swym synem; nie widziała go już dawno; a on już posiwiał i trochę posepny, właśnie wskutek polityki. Ona chciała by go przytulić do serca, jak ongi, ale oto między nią i synem staje *decorum*, niby poważne i zimne prawo jakieś. Staruszka patrzy nań z boku; widzę, powiada, naraz poruszenie ust jego takie, jakie miewał, kiedy, dziecińką będąc, miał jakie zmartwienie, i chciałabym otoczyć głowę jego, jak niegdyś i przytulić biedactwo do serca... ale nie można!... potrzeba czekać: aż on sam tego zapragnie dzisiaj...

I tak pięknie, a słodko, a dobrze, rozwija się to, postępuje naprzód; a kiedy przychodzimy do końca, radby czytelnik oczarowany, znaleźć jeszcze jaką secinę kartek. Myślę, że w przekładzie polskim, byłoby to śliczne wiązanie dla czytelników naszych.

DWA KŁAMSTWA WIEKU.

(Dokończenie).

Pocieszajmy się tem, że u nas złe nie przybrało jeszcze tak zatrważających rozmiarów; ale nie przeczmy, że jest. Małżeństwo bywa i u nas aktem kupna i sprzedaży, jak u ludów pierw-

tnych, z tą jeszcze obciążającą różnicą, że co tam dzieje się otwarcie, wobec bogów i ludzi, tutaj jest najczęściej dziełem podstępny i oszukaństwa. W zawieraniu takich związków obrażających godność ludzką, wina kobiet jest daleko mniejszą niż mężczyzn: kobieta, posiadając mniej samodzielności społecznej, temsamem i mniejszej ulega odpowiedzialności: zato klasa łowców posagowych i liczebnością i działalnością swoją zasłużyła sobie już na to, że trzeba ją wytykać i piętnować jako szkodliwy żywioł społeczny. Niech tu nikt na nikogo większej winy nie zwala: mieszczaństwo grzeszy również, jak szlachta; w obu stanach sami pokazali-byśmy mogli mnóstwo kobiet, które padły ofiarą podstępnej chciwości męskiej i życie swoje całe na męczeństwo, na niedolę i nędzę wydały. Kobieta w naszym społeczeństwie grzeszy głównie miałością duszy, brakiem rzeczywistego uczucia. Idzie do ołtarza z panem Janem, ale poszłaby taksamo i z p. Alexandrem; ani jeden ani drugi jednak istotnej miłości w niej nie wzbudza. Ta bezkolorowość, ta bezwyznaniowość miłości, w stosunku, wymagającym właśnie jaknajbardziej kolorytu, najpotężniejszej wiary—mści się później przez lata całe, nieraz aż do grobowej deski. Najdoskonalszy związek dwóch indywidualności—miałoby się dokonywać poza obrębem indywidualności—samą tylko siłą bezimiennych a powszechnych, wspólnych wszystkiemu instynktów? W naturze pozo-człowieczej idzie tylko utrzymanie ciągłości bytu fizycznego; w świecie ludzkim zaspokojone być muszą jeszcze najświętsze interesa bytu moralnego i społecznego. Gdyby zwierzęta posiadały społeczeństwa, to i u nich formy związków byłyby uszlachetnione: a między ludźmi jakże często zniknęłyby wszystkie egoizmy! O społecznym charakterze, o społecznym powołaniu małżeństwa, wcale się nie pamięta. Ani umysł, ani charakter, ani serce nie przystępuje z należytem przygotowaniem, z siłą potrzebną do trudu, walki—i obowiązku, boć to wszystko z surowem obliczem swoim czeka na uśmiechnione dzieci Hymenu. Kto myśli o ognisku domowym, o moralnym gnieździe dusz, o szkole charakterów—o całym nieprzejrzanym łańcuchu chwil życia? Niechaj życie samo myśli! niech myślą pedanci! Dalej, dawajcie wieniec i welon! Małżeństwo—to rozkosz, świat—to salon, życie—to zabawa. Cieszymy się i używajmy! I tak jest w większości wypadków.

Autor książki upatruje przedmiotową przyczynę złego w wychowywaniu kobiety wyłącznie tylko do stanu małżeńskiego—a nie do życia w ogóle, jako do wielkiego procesu myśli, uczucia i woli, mającego się w czasie rozwijać; zdaniem jego, również za złe odpowiedzialną jest wadliwa organizacja ekonomiczna dzisiejszej ludzkości, którą wytknął był w jednym z poprzedzających rozdziałów. Na obu tych punktach ma on oryginalne swoje poglądy. Zdawałoby się, że będzie zwolennikiem emancypacji kobiet, dla własnego jej dobra: przeciwnie, wzgląd tego dobra nakazuje mu odrzucić emancypację jako brzemienne w nieszczęściu. Lepiej dla kobiety, że nie stanie do walki o byt z mężczyzną, że nie ma ani tych samych warunków, ani tych samych wymagań dla swego istnienia: bo w takim razie zostałaby zmiażdżona—uległaby sile wyższej, jaką ma mężczyzna. Wadliwy ustrój ekonomiczny w tem się przejawia, że nie zapewnia rodzicom środków materialnych do wychowania dzieci, które, zdaniem autora książki, społeczeństwo na etat swój brać powinno, aż do tego wieku, w którym będą zdolne na siebie zapracować. Mając już głowę o wychowanie potomstwa spokojną, mężczyzna mógłby dać swobodę sercu i nie potrzebowałby uganiać się przedewszystkiem za groszem. O to lekarstwo spierać się tu nie będziemy; sam eksperyment należy jeszcze do przyszłości, a przyszłość przyszłości rozstrzygnie dopiero o powodzeniu. To jedno tylko chcielibyśmy sobie wyprosić u reformatora, aby nas nie obdarzał gromadnem wychowywaniem dzieci, żłobkiem, sypialnią i szkołą utrzymywaną przez państwo i zaopatrzoną w prawo przymusu. Im mniej państwowości, tem lepiej dla społeczeństwa, dla zewnętrznego i wewnętrznego rozwoju człowieka.

Piętnując kłamstwo wieku, autor sam kłamstwa się dopuszcza, mianowicie: w tej pierwszej myśli

przewodniej, która go na drogę krytyki dzisiejszych małżeństw popchnęła—w owym altruistycznym naturalizmie, któryśmy na samym początku wskazali. Dając folię tej zasadniczej myśli swojej, Nordau w prowadza nas w sferę *amour libre* z nieograniczonym prawem rozwodów na pierwsze skinienie; ukazuje nam getowską *Wahlverwandschaft* jako typową formę popędu do małżeństwa; wraza w nas przekonanie, że mimo jednoosobowości narzuconej przez prawo, w rzeczywistości panuje w obyczajach europejskich polygamia; wreszcie powstaje—bez znajomości rzeczy—na Kościół, że jest nieprzyjacielem małżeństwa, że ascetyzmem swoim istotę stosunku zmienił, wykrzywił, od prawdy życia oderwał—a tą prawdą życia jest dla ciebie, człowiecze, to, żebyś szedł zawsze za pierwszym swoim popędem. Dlaczego-byś nie mógł kochać na raz kilku istot—jeżeli masz serce dość obszerne, a wielki w niem *horror vacui*, kochaj!—Pod koniec rozdziału dopiero, kiedy trzeba było postawić stanowcze już zdanie, cofa się Nordau z wnioskami: dobrze jest—mówi, że jeden tylko mężczyzna żyje z jedną tylko kobietą; dobrze jest, że prawo rozwodów ograniczone; dobrze jest, że po zapalch pierwszego popędu zostają węzły przyzwyczajenia i przyjaźni: dobrze więc jest w małżeństwie takim, jakie prawo moralne dotychczas ustanowiło. Rozum zatem autora odnosi zwycięztwo nad naturalizmem, którym się umysł jego był przepoił. Trafia Nordau ostatecznie do prawdy; aleśmy go długo, bardzo długo, widzieli na manowcach. Te manowce właśnie ukazują nam drugie kłamstwo wieku i o niem słów tu parę pomówimy.

Nie ma wątpliwości, że ów naturalizm w filozofii i sztuce, który poddaje człowieka pod wspólne prawo natury, rządzące wszystkimi jej siłami, istotami i całą materią, i przedstawia go tylko jak twór przyrodzony—zagnieździł się i rozwinął pod wpływem wielkiego postępu, jaki uczyniły w naszym wieku nauki przyrodnicze. Umysłów samodzielných jest niezmiernie mało, a owczego popędu w ludzkości bardzo wiele. Zamiast kojarzyć pozorne sprzeczności, zamiast znosić przeciwieństwa dotykające tylko objawów, a niesięgające w samą istotę bytu, zamiast pracować nad wydobyciem własnej prawdy ze zjawisk życia,—dogodniej jest z prawd już gotowych korzystać i posługiwać się niemi w sferze, dopominającej się samoistnej i oryginalnej działalności. Sfera ta krąży naokoło uczucia — i bez niego wyrozumieć się nie da. Kto odrębności swojej od świata materialnego nie odczuwa, temu próżno ją kłaść w umysł. Za zepsuciem obyczajów, poczynając się od upadku charakterów — idzie i upadek tego przeświadczenia, z którego rozwija się moralna niepodległość człowieka wobec natury. Jeżeli teraz przy osłabionem sumieniu uderzy o umysł cała wielkość natury, ujawniona przez nauki przyrodnicze — jej trwałość i niewzruszoność, jej wewnętrzny porządek, objawiający się w niezmiennych formach działania; jeżeli wpośród tej natury człowiek ukazuje się jako fizycznie związany z nią nierozzerwalnie węzłami; jeżeli świat moralny, zapytany o swoją legitymację, jedną tylko ukazuje: wiarę i płynące z niej uczucie wyższości i godności metafizycznej — w takich warunkach, takim umysłem, naturalizm narzucić się już musi z mocą prawie nieprzepartą. Dla wielu pisarzów, a nawet dla umysłów wielu — bo nie zawsze pióro idzie w parze z umysłem — perorowanie o wielkich prawach natury, o jej wszystko ogarniającej potędze, o potrzebie oparcia wszystkich stosunków ludzkich na naturze, — będzie, albo sprawą trwogi przed rozumem przyrodniczym, albo sprawą pychy pragnącej wzbicić się bez wysiłku i zasługi na wyżyny naukowości. A od czegoż moda? Czyżby i w zakresie umysłowości nie miało być panowania mody? Jeżeli są modne kapelusze, dlaczegożby nie miało być modnych pojęć? Każdy wiek miał swoje *esprits forts*, które powtarzały tylko za panią matką, pacierz, — same niezdolne do bojowania o prawdę, niemające do tej walki ani oręża, ani ani meztwa? Toż i dziś, prócz strachu i pychy, jeszcze i moda świeci łatwe tryumfy — zdobywając coraz szersze kręgi w powszechności. Jakże łatwo zostać w ten sposób myślicielem, powagą — dorobić się wziętości, — ba, nawet sławy!

Za panowania filozofii idealistycznej istniało królestwo ducha, graniczące tylko z naturą, ale nie shodowane przez nią: dziś dawne mocarstwo upada, obszary jego zagarnia dla siebie pojęcie naczelnie panujące w świecie fizycznym. Dawniej zapalano się dla ideałów; czczono ducha, jego potęgę i wolność duchową; widziano świat wyższy nad dotykalną rzeczywistość; odczuwano odrębność swoją od zjawisk i praw tego ogromu zwanego naturą: dziś wierzy się tylko w to, co się zmysłami uchwycić, zmysłami zmierzyć i sprawdzić pozwala; dziś tonie się chętnie w ogólnym oceanie natury, nie chce się być niczem tylko siłą, niczem tylko materią, wspólną całej naturze, i pod prawa konieczności naturalnej poddaje się całą istotę i wszelkie stosunki człowieka. Dawniej człowiek był częstką bóstwa i miał być boży nieskończony, bez początku i końca: wiara w nieśmiertelność za grobem była potrzebną dla życia przedgrobowego; dusza jak orzeł wlatywała ku słońcu wszech ideałów i wszech istnień: dziś — co się stało z tą wiarą — z tym polotem? Dumny orzeł zamienił się w płazę trwożliwie pełzającego — po szczypie mułu ziemskiego. Konieczność i niewzruszoność w naturze panująca, zdobyta przez naukę, imponuje dziś i w dziedzinie moralnej. Pod naciskiem tego potężnego pojęcia nie widzimy w świecie nic prócz natury, prócz materii i nerwów; trwoga o byt osobisty, chciwość mająca go zapewnić, egoizm depczący po ludziach i rzeczach — przytępiają w nas czułość na sprawy moralne, czynią nas niezdolnymi do odczuwania samych siebie wśród zmiennych, od materii nieodłącznych, zjawisk bytu; używanie zmysłowe przysłusza, a potem już i tłumi zupełnie, wiarę w ducha własnego, i w duchowe siły świata, i w duchową treść jestestwa nam podobnych. W ten sposób powstaje z wolna największy wróg tego idealizmu niezbędnego dla człowieka, aby się mógł czuć człowiekiem: materializm praktyczny. Żaden systemat filozoficzny, żadna najprzewrotniejsza i najbardziej materialistyczna teoria nie wyrządzi nigdy takiej krzywdy, jaką wyrządza złe życie, życie bez wiary, bez zapatu, bez miłości, bez ideału. Do materializmu w obyczajach przyłączy się jeszcze zabójczy wpływ, jaki wywiera organizacja państwowa dzisiejszej ludzkości. Tępi ona starannie wiarę w prawo wyższe nad kodex, nad siłę i gwałt; dla siły poświęca wszystko, od dzieciństwa już usiłuje ludzi zamieniać w wystrugane pod miarę kółki; w stado beczące za danym głosem; zaraża umysły mechanicznością i samolubstwem, zarzyna ducha niesprawiedliwością. I niechże potem nauka, religia, poezja, literatura — silą się na wygładzenie złego: kiedy one same zarazie uległy i aby do życia przywracać, potrzebują wpróżd same pozbyć się zarodków śmierci!

Nie! nie nauki przyrodzone winne są temu, że się pod ich płaszczem naturalizm do umysłów przekradł, że przejął filozofią i przejmując sztukę: winna jest cała atmosfera duchowa dzisiejszej ludzkości. Wierutny to fałsz, że nauki przyrodnicze dławia ducha, zabijają wiarę i wydzierają ideały. Nauka, ta, o której powiedziano „wiele nauki“, doprowadza do Boga, do metafizycznego środka świata; nauka poważna, trzyma się zdala od prozelityzmu materialistycznego w świecie obyczajowo-moralnym; uczy ona tylko ostrożności, napomina do harmonijnego układu całości rozumowych, nasuwa ustawicznie przed oczy prawa, których lekceważyć nie wolno: ale sama wielkiej zagadki bytu nie rozwiązuje, i jak za czasów Kanta, tak dziś jeszcze, każdy duch wyższy czci może trójcę przedwieczną ideałów: Boga, wolność i nieśmiertelność. Nauka utrudnia tylko zadanie filozofii idealistycznej, ale go nie usuwa, nie zmazuje, nie niszczy. Nie nauki przyrodnicze ostudziły wiarę w moralny świat porządek i pragnienie moralnego świata porządku, ale zepsucie sumień, obojętność etyczna, zaraza siły i powodzenia. Tajemnica systematów filozoficznych, zajmujących się życiem, leży zawsze w życiu samem. Jak jednostka urabia sobie zasady ogólne z czynów własnych, taksamo postępują i narody; między życiem i ideałami istnieje nierozzerwalna spójność. Pomyślmy tylko, jakimi np. byli Niemcy w epoce Herdera i Schillera, a potem za czasów Platena, Moseny, Muneka, Herwegha — i przystawmy ich do

dzisiejszych Niemiec, uszczęśliwionych przez Bismarcka! Nie znać nawet, że to tensam naród.

Taka jest, zdaniem naszym, przyczyna twórcza dzisiejszego *naturalizmu*: słabość żywiołów moralnych w życiu praktycznym, w prawach, instytucjach i obyczajach. Tylko ten, kto silnie stoi wobec zewnętrznej konieczności, kto rządzi się zasadą *quisque suae faber fortunae* i niczego na los nie spędza i niczego nie pragnie od losu; kto czuje się wyższym nad przeciwność i potężniejszym nad siłę; w kim nie natura ale on sam przez ducha swego żyje; kto życie swoje oddać gotów dla ideału swego: ten tylko może być istotnie dodatnim czynnikiem w moralnym życiu ludzkości. Cały postęp świata jest albo walką z naturą, albo szepieniem w niej ducha świadomego siebie: co będzie jeżeli ten duch sam tylko za naturę ślepymi siłami rządzoną się uzna? Wszelkie rozumowanie topiące człowieka w bezmiarze sił i atomów natury, jest nierozumnym zaprzeczeniem istotnego pochodzenia cywilizacji i kultury; i fałszuje rzeczywiste ideały przyswiewiające ludzkości, choćby tylko z kilku gwałtownych kart dziejów, z pamięci garstki umarłych i z piersi garstki żyjących. Ludzkość nie dlatego jest dziś jeszcze tak nędzną, żeby w niej ducha wcale nie było; ale dlatego, że na tę siłę ducha, jaką posiada, ma za wiele ciał—te ciała jej ciążą i nie dają jej iść naprzód. Rozpalanie i potęgowanie ducha—to cel rozumny życia.

Stanisław Krzemiński.

ECHA Z CZECH.

(Dokończenie).

Żałować wypada, że dotąd nikt nie napisał odpowiedniego dzieła o Czeszkach z czasów czeskiej samodzielności i z epoki białogórskiej katastrofy. Ileż tu postaci dostojnych, podobnych do najjaśniejszych gwiazd życia narodowego: godnych uwielbienia i hołdu. Prawda, w czasopismach i rozmaitych publikacjach literatury czeskiej znajduje się dużo ciekawego materiału dotyczącego się Czeszek, lecz całkowicie nie wydano dotąd prawie nic. Jeden Fr. Dworski, znany badacz dziejów ojczystych, zajmował się myślą napisania dziejów kobiety czeskiej, zamieścił w różnych publikacjach niejedną bardzo cenną rozprawę, osobno nawet wydał dzieło, zawierające stare *korespondencje* czeskich kobiet p. t. (Staré památky žen a dcer českých. Praga, r. 1872, str. 389). Dzieło to nader zajmujące, zawiera 343 listów kobiet czeskich, zebranych z najrozmaitszych archiwów, i to bardzo ważny przyczynek do poznania kobiet naszych w czasie od r. 1365 do 1668, więc do czasów pobiłogórskich.

Przeglądający karty dziejów czeskich widzi cały szereg zacnych postaci kobiet czeskich. Dość tu wspomnieć mądrą Libuszą, św. Ludmiłę, Drahomirę, żony Przemysłowców, szczególnie Eliszkę żonę Karola Luxemburczyka. Kobiety husyckie miały rozgłos wielki, i sam papież ówczesny Pius II-gi, podróżując po Czechach, wypowiedział w swojej historii, że *niejedna kobieta husycka lepiej jest czytana w Piśmie Świętym, niżeli nie jeden biskup ówczesnego kościoła katolickiego*. Wybitną kobietą była żona króla Jerzego Podiebrada; później słynęła Perchta z Rozmberku; Vestonia (poetka czeska i angielska z XVII wieku); uczona Polixena z Lobkovic, żona najwyższego kanclerza Królestwa Czeskiego; Ewa z Lobkovic, autorka znakomitej *Apologii* ojca swego, który umarł w więzieniu (w czasach Rudolfa II). Były i inne jeszcze w czasie wojny 30-letniej; historia przypomina nam wiele znakomych kobiet czeskich. Widzimy wśród nich wielce utalentowaną, duchem dyplomacji obdarzoną, czeską panią Magdalenę Tuczkową († 1633 r.). Rozumie się, że życie kobiet z owych czasów przedstawia już obrazy nader tragiczne. Jaka to szlachetna, piękna, pełna najgłębszych uczuć postać takiej Zuzanny! Czerninowej z Chudenicy; dama to wysokiego wykształcenia, złotego serca, wzór córki, małżonki i matki, kobieta pełna miłości Czech i poczucia dumy narodowej.

Dopiero w połowie XVIII wieku znikają wszel-

kie ślady poważania rzeczy ojczystych w wyższych sferach. Idea germanizacyjna zwyciężyła przez wpływ rozmaitych środków. Dziwić się wcale nie należy. Lecz języka czeskiego i poczucia narodowego nie zdołali Niemcy wyrwać z piersi kobiet, żyjących pod niskimi strzechami, wśród lubych chat wiejskich ludu naszego i u kołyski dzieci brzmiała jak dawniej pieśń matki czeskiej, słowo miłości Czech. I oto z tych chat, gdzie matki pomimo strasznego upadku narodowego ducha, zostały prawem Czeszkami, wyszli tacy mężowie jak: Jungman, Szafarzyk, Palacki.

Nie więc o chaty chodzi obecnie, lecz o warstwy wyższego towarzystwa. Rozumie się, że i w tym względzie zrobiono w Czechach niesłychany postęp, i tam kwestya narodowego stanowiska kobiet czeskich coraz więcej się rozwija i przybliża się do tego, co stanowi szczyt naszego ideału. Doczekaliśmy się nawet już i prawdziwych czeskich salonów, skromnych, prawda, rozmiarów i rzadkich, jednak są już. Mamy nawet już domy w Pradze, gdzie się odbywają regularne *Czwartki* i *Soboty* charakteru literackiego, a przecież ze współudziałem dam. Słowem, mamy Czeszki we wszystkich warstwach naszego towarzystwa, które najzupełniej poczuwają się do tego i wiedzą, jakie mają obowiązki wobec kraju i narodu, to jest, ażeby były Czeszkami przez słowa, czyny, całym sercem i duszą.

Że się nad kwestyą kobiet czeskich pracuje, tego moglibyśmy przytoczyć liczne przykłady. Właśnie w tym roku upłynęło lat dziesięć, jak wychodzi w Pradze pismo *Žeňské listy*, organ pro ozdělání žen a dívek česko-slovanských. Więc lat dziesięć! Dziesięć roczników czasopisma, poświęconego wyłącznie sprawom czeskich kobiet, leży przed nami i doprawdy z wielką przyjemnością i z prawdziwą satysfakcją donosimy o tym fakcie. Prazkie „Žeňské listy“ redagowane od 1875 r. przez p. Eliszkę Krasnohorską, autorkę wybornego przekładu „Pana Tadeusza“, to pismo nie wielkie i zewnątrz nie reprezentuje się bardzo wspaniale. Co miesiąc wychodzi zeszyt o 16 stronicach (więc arkusz druku) i cały rocznik daje nie więcej, jak „Bluszcz“ w 12 numerach. W literaturze czeskiej rzadko kiedy robi się wzmiankę o „Žeňských listach“, reklam i hucznych ogłoszeń (teraz tak nie rzadkich) wcale o nich nie bywało. A przecież, śmiało powiedzieć można, że to jedno z najpożyteczniejszych pism czeskich. „Žeňské listy“ nigdy nie ulegały obcym wpływom, zawsze tylko pilnowały się swego, raz wytkniętego programu szlachetnego, podniosłego. Artykuły tam zamieszczone i odnoszące się do spraw czeskich kobiet, odznaczają się ząną szczerością. Dużo tam prawd, dużo rad patryotycznych i macierzyńskich, dużo wskazówek—jak powinno być. W przeciągu lat dziesięciu zamieścili w „Žeňských listach“ prace swe prawie wszystkie czeskie literatki—prace swe i myśli. Znana też w Polsce Karolina Świetla, zamieszczęła tu swoje nader ciekawe pamiętniki i wspomnienia o Honoracie Wiśniowskiej, szlachetnej żonie Karola Zapa. Tu spotkać można jeszcze cały szereg innych prac cennych i uwagi wielce godnych. Obecna zaś redaktorka panna Krasnohorská zasługuje na wszelkie uznanie za wzorową troskliwość, jaką pismu sobie powierzonymu poświęca. Treść każdego numeru „Žeňských listów“, o ile na to pozwalają skromne rozmiary, jest barwna i zajmująca. Jest powiastka (czasami tendencyjna), poemat, szkic z podróży, artykuł pouczający i drobnotki. Juliusz Zayer i K. Kuczera wydali nowe zbiory swoich poezji. Zayer i w Polsce poniekąd znany; poezje Kuczery mają charakter domowy, miły robią wrażenie swoją prostotą. Pomiedzy poezjami pomieszczonymi w tomiku p. Kuczery, znajdujemy też jeden poemat, którego tło czerpane jest z historii polsko-czeskiej p. t.: *Krystyna Poniatowska*. Otokar Mokry, tłumacz Słowackiego i redaktor „Domacino krbu“, wydał właśnie tomik swoich sympatycznych powieści. Vrchlickiego poemat „Legenda o św. Prokopie“, wydane na wilią, w ilustrowanym pysznym wydaniu. Zbiorek pieśni „Poetyckie Besedy“ doszedł do 11 tomu, który zawiera nową pracę popularnego Świętopełka—Czecha. Z prawdziwą też radością donoszę, że na prowincyi naszej, w starem, wier-

nem mieście Taborze, rozpoczął właśnie wychodzić *Słownik kieszonkowy polsko-czeskiej różnojęzyczności*, przez W. Woczadło. Jest to prawda słowniczek rozmiarów najmniejszych, zawiera bowiem objaśnienia tylko takich słów, do zrozumienia których konieczne trzeba słownika—lecz i za to tymczasem—dzięki Bogu!

Pracuje się obecnie też nad wielkim słownikiem polsko-czeskim, w rozmiarach 50—70 arkuszy druku, który naturalnie dopiero później zacznie wychodzić.

Przyszło do skutku też zbiorowe wydawnictwo dzieł Kraszewskiego w języku czeskim, o którym w swoim czasie donosiliśmy. Właśnie opuścił prasę pierwszy zeszyt „Sebranych spisu J. I. Kraszewskiego“, zawierający oprócz przedmowy i krótkiej oceny czcigodnego jubilata powiastkę: w tłumaczeniu Fr. Kwapila.

Nowy Rok zapowiada nam masę nowych wydawnictw. Nakładem zasłużonego księgarza J. Otty rozpocznie wychodzić nowe ilustrowane czasopismo *Złota Praha*, redagowane przez Fr. Schulza. — *Atheneum*, redagowane przez profesora Uniwersytetu, Masaryka, i poświęcone wyłącznie krytyce, ma uznanie i powodzenie. Dwa dotąd wydane numery odznaczają się barwną treścią i spokojną, rzeczową surowością. Potrzeba krytycznego czasopisma odezwiała się w Czechach już dawno.

Wkrótce ma się ukazać na scenie Wielkiego Teatru Narodowego, w czeskim tłumaczeniu, komedya Narzymskiego *Pozitywni*. Mówią też o *Strasznym dworze* Moniuszki. Nie omieszkamy podać w swoim czasie odpowiednich wiadomości.

Edward Jelinek.

BLEDNICA (Chlorosis).

Zpomiedzy pierwiastków (tlen, węgiel, wodór, azot i kilka innych), wchodzących w skład organizmu człowieka, jednym z najważniejszych jest tlen. Tlen dostaje się do organizmu za pośrednictwem płuc, t. j. z powietrza atmosferycznego, którym oddychamy. Zetknawszy się w płucach z krwią czarną czyli żylną, utlenia ją i zamienia w czerwoną, arteryałną, zdolną do odżywiania pojedynczych organów, jak mięśni, nerwów i t. p.

Ażeby krew mogła być należycie utlenioną, niezbędnym warunkiem jest, aby posiadała dostateczną ilość czerwonych krążków krwi; za ich to bowiem pośrednictwem odbywa się utlenianie. Brak tych czerwonych krążków spowodować cierpienie, które dziś tak bardzo się rozwiło, a w medycynie znane jest pod nazwą blednicy (*chlorosis* 1).

W zdrowym organizmie krew na 1.000 części osocza powinna zawierać około 130 części ciałek suchych: ilość ta w blednicy zmniejszoną bywa do połowy, t. j. do 60 a niekiedy i więcej, bo do 40. Łatwo też pojąć, jaką to szkodę przynosić musi organizmowi, jeżeli go skutkiem tego pozbawia możliwości absorbowania tak niezbędnego dla życia pierwiastku, jakim jest tlen.

Wiadomo powszechnie, że zupełny brak tlenu spowodować w kilka chwil śmierć przez uduszenie; w blednicy mamy to samo, różnica polega na tem, że proces odbywa się niesłychanie wolno, a co najważniejsza, środki lekarskie pozwalają na powstrzymanie go, albo też nawet w większości wypadków na zupełne wyleczenie.

Najpierwszym i najważniejszym objawem jest błądność. Błądność ta, którą widzimy na skórze, błonie śluzowej ust i wewnętrznej powierzchni powiek, na tak zwanej łącznicy oka, jest nadzwyczaj charakterystyczną, i doświadczony lekarz na pierwszy rzut oka chorobę tę zdyagnostuje. Nie jest to ta błądność matowa, którą zwykle interesująca nazywają, u blondynek przedstawia się ona jako błądność kredowa, przezroczysta, dlatego, że w ich skórze mało zawiera się barwnika, u brunetek, gdzie go znacznie więcej, płęć staje się brudno-śniadą lub żółtawą i ztąd nazwa *chlorosis*.

1) χλωρος—chloros, znaczy po grecku: żółto-zielony.

Najwyraźniej błądność występuje na uszach, które stają się pergaminowymi, prawie przezroczystymi.

Nierzadko zdarza się, że u osób cierpiących na blednicę, ma to szczególnie miejsce u blondynek, policzki bywają rumiane; zależy to od wypełnienia naczyń krwionośnych, które na twarzy rozszerzane i skurczane być mogą skutkiem wpływów psychicznych jak wstyd, przestrasz, radość i t. p. Rumieniec te jednak owiele różnią się od normalnego zabarwienia skóry; powszechnie nazywają je chorobliwymi, albo, gdy granice ich są jasno nakreślone: wypiekami; te ostatnie są zawsze oznaką, jeżeli nie blednicy, to w każdym razie stanu anormalnego. Pozornie osoby cierpiące na chlorozę nieraz wyglądają zupełnie czerstwo. Ma to szczególnie miejsce na większych zebraniach, balach, gdzie ciepło, tańce, ożywiona rozmowa, podniecając systematycznie nerwy a temsamem i krążenie, wywołują zabarwienie policzków, błądność zaś warg ustępuje chwilowo wskutek przegrzania ich zębami i częstego zwilżania śliną. co nierzadko bardzo smutne za sobą pociąga następstwa. Jeżeli dodamy, że osoby takie, skutkiem stanu chorobliwego, posiadają więcej tkanki tłuszczowej niż osoby zdrowe, ciała bowiem białkowane skutkiem braku tlenu nie spalają się dostatecznie i jako tłuszcz odkładają się w skórze — łatwo pojąć jak omylić się nie trudno.

Zazwyczaj jednak niedługo przychodzi czekać na wyświecenie prawdy, gdyż cokolwiek większe zmęczeniu — wystarcza nieraz kilka walców lub polek — zmienia osoby takie do niepoznania; na twarzach występuje charakterystyczna błądność a nierzadko dołączają się omdlenia. Powodem tego jest brak sił, mianowicie nienormalne odżywianie muskulatury, która, aby należycie funkcjonować mogła, potrzebuje przypływu krwi bogatej w tlen, co właśnie tutaj nie ma miejsca. Mięśnie osób cierpiących na blednicę stają się wiotkimi, bladymi i skutkiem tego nie są zdolne wykonywać szybszych ruchów — co koniecznym jest w tańcu — bez rychłego wyczerpania się. Wrażliwość nerwowa z tej samej przyczyny jest w wysokim stopniu podniesioną, systematycznie nerwy stają się nadwrażliwymi na wszelkiego rodzaju wpływy zewnętrzne; najwyraźniej objawia się to w funkcjach serca i płuc. Chore takie podlegają często, nawet z błahych powodów, tak zwanemu biciu serca (*palpitatio*), które objawia się przez częstsze i silniejsze skurcze tego organu, podczas których płuca zmuszone są prędzej oddychać, co zresztą jedno od drugiego zawsze w zależności pozostaje.

Prawie nieodłącznym objawem blednicy jest duszność. Krew pozbawiona krążków czerwonych, mających własność chłonięcia tlenu, i rozpróśnięcia go po całym organizmie, musi częściej stykać się z powietrzem — które to zetknięcie w płucach następuje — co wymaga szybszej pracy ze strony tego organu, t. j. szybszego oddychania. Chore zwykle skarżą się, że im „po wietrza brakuje“, są niespokojne i drażliwe.

Drażliwość ta w najrozsądniejszy sposób zewnętrzna się, bądź to przez niezadowolenie ze wszystkich, wszystkiego a niekiedy i z samej siebie, bądź przez kłótniwość, rozmaite zachcianki. Często tu doskonale zastosować się dają pytania: „a może gwiazdki z nieba, albo kafelka z pieca?“ Wybryki co do apetytu bywają bardzo oryginalne: zjadanie kredy, węgla, popiołu, ziemi, jest na porządku dziennym. Znałem panią dotkniętą blednicą, która z najwyższą satysfakcją zjadała miotłkę. O przyjmowaniu pożywienia we właściwym czasie, tego, co wszyscy jedzą, mowy nawet nie ma: najczęściej głód zaspakajany bywa kawałkiem suchego chleba, ciastkiem, cukierkami; twarde a kwaśne jabłko, orzechy, śledź, rzadziej już szynka: oto ulubione przysmaki tych, skutkiem choroby, kapryśnych dzieci. Na zapytanie: dlaczego nie jedzą mięsa, nie piją mleka? — dają odpowiedzi, z których nierzadko serdecznie uśmieć się można, np: „Bo wół cierpiał, gdy go zabijali“;

albo: „Wszakże mleko przeznaczone dla cielęcia“. Blednica bywa prawie wyłącznie udziałem kobiet, u mężczyzn pojawia się niesłychanie rzadko, wyjątkowo tylko. Najczęściej występuje w czasie dojrzałości między 15 a 20 rokiem życia. Należy przypuszczać, że dziecko przychodzi już na świat z usposobieniem i zarodkami do tego cierpienia: zdarzają się bowiem przykłady, że z dwóch siostr wychowanych w jednych i tych samych warunkach, jedna dotknięta bywa chlorozą, gdy druga cieszy się najlepszym zdrowiem.

Niemalą rolę odgrywa dziedziczność.

Taksamo jak dzieci otrzymują po rodzicach podobieństwo rysów, które niekiedy bywa nadwrażliwem, taksamo zupełnie dziedziczyć mogą usposobienie do pewnych chorób. Zauważyłem, że chlorotycznymi bywają przeważnie dziewczyny, których rysy przypominają matkę. Powszechnie utrzymują, że blondynki częściej podlegają temu cierpieniu, niż brunetki. Nie zdaje się to jednak prawdziwem i nie mamy żadnych podstaw naukowych, dlaczego tak być miało. Sprzeciwia się temu mniemaniu fakt, że we Włoszech, gdzie przeważnie widzimy indywidua z ciemnym zabarwieniem skóry i włosów, blednica bardzo często się spotyka. Przypisać to raczej należy tej okoliczności, że u blondynek objawy są daleko wyraźniejsze, i że blondynki wogóle przedstawiają mniejszą odporność na wpływy i bodźce zewnętrzne niż brunetki.

Do klimatycznych i tellurycznych wpływów nie można również przywiązywać wagi, gdyż cierpienie to mniej więcej w jednakowym natężeniu występuje w rozmaitych krajach. Nie podlega za to wątpliwości, że sposób życia, wychowanie, socjalne warunki stanowią bardzo ważny moment przyczynowy. I tak: daleko częściej spotykamy blednicę u osób zamieszkujących miasta, niż u tych, które pędzą życie na wsi, wogóle zaś daleko większego kontyngensu dostarcza wykształcona, niż robocza klasa ludności. Życie sedentarne oddziałuje bardzo niekorzystnie na wytwarzanie się czerwonych krążków krwi; nadmierne czytanie, szczególnie niewłaściwych — zawczasie rozbudzających fantazję — książek, zbyt wygodne i leniwe życie, dalekie gwałtowne wzruszenia, jak: przestrasz, obawa, ciężkie żmartwienia i t. p.; często także tęsknota wywołana bądź to sprawą sercową, bądź np. tęsknotą za rodzinnym krajem (*nostalgia*), — bywają przyczynami chlorozy. Dodać tu jeszcze należy choroby długotrwałe a wyniszczające jak: katar chroniczny żołądka, tyfus, febra, reumatyzm, które, jeżeli powstają w organizmie wątłym, spowodować mogą stałe zubożenie krwi w pierwotki t. j. blednicę.

Z chorób komplikujących to cierpienie najczęściej dołączają się: nerwobóle, które pojawiają się peryodycznie i nieraz dochodzą wielkiego natężenia, i wrzód żołądkowy, któremu nierzadko towarzyszą bardzo obfite krwotoki. Mniemanie, jakoby indywidua blednicowe łatwo podpadały suchotom płucnym, nie ma naukowej podstawy.

Jak już wyżej wspomniałem, leczenie blednicy osiąga zawsze pomyślne rezultaty.

Leczenie to przede wszystkim polegać winno na uregulowaniu życia według zasad higienicznych i dietyetycznych a następnie na podawaniu właściwych środków lekarskich, z których najważniejszym jest żelazo.

Ażeby wymienić szczegółowo, co w takich razach bywa pożytecznem a co szkodliwem, musiałbym powtórzyć wszystko to, co na tem miejscu, niejednokrotnie prof. Płaskowski i dr. Fritsche w artykułach z dziedziny higieny i dietyetyki, mówiąc o innych chorobach, tak jasno nakreślili. Zastanówię się więc tylko na najważniejszych. Dziewczyny, u których tylko podejrzewać można usposobienie do blednicy, powinny takie zajęcia, jak: szycie, haftowanie, robienie koronek, czytanie, grę fortepianową — jednym słowem: te, które wymagają dłuższego siedzenia, ograniczyć do minimum. Zajmować

się za to winny przeważnie gospodarstwem, przy którym ruch jest rzeczą nieuniknioną, a potem myśl ciągle czem innem bywa zaprzątniętą, tak, że niepodobna im dłużej zastanawiać się nad jednym przedmiotem, myśleć, jak to mówią: „o niebieskich migdałach“.

Powinny codziennie gimastykować się pod okiem specjalisty, uczyć się pływania, często jeździć na łyżwach, wiosłować, używać spacerów; wszystko to jednakże powinno odbywać się umiarkowanie, gdyż nadmierne wyczerpanie sił, zamiast pożytku przyniosłoby jeszcze szkodę. Godziny snu należy ograniczyć, oile możliwości wcześniej kłaść się na spoczynek, a rano wstawać; spanie w dzień bezwarunkowo nie powinno być dozwolone.

Pożywienie należy przyjmować w oznaczonych godzinach; składać się ono powinno z potraw łatwostrawnych a zarazem pożywnych jak mięso, mleko, owoce; brak apetytu pobudzać można kawą, śledziem, albo też gorzkimi środkami, jak ziółka: tysiącznik, rzymski rumianek — pite na czczo wzmacniają żołądek i temsamem ułatwiają trawienie. Bardzo ważnym środkiem jest wino, dalej porter, dobre piwo, do których należy potrośnie się przyzwyczajać i regularnie przyjmować.

Książki i przedstawienia teatralne powinny być z całą umiejętnością dobierane. Wszystko, co może rozdrażnić, silnie wzruszyć, jest bezwarunkowo szkodliwem — a co dziś wykonać, niestety! wcale nie łatwo.

Letnie miesiące należy spędzać na wsi, gdzie tak łatwo o przejażdżki powozem lub konno, spacer, kąpiele, i gdzie powietrze samo jest najpożytejszym środkiem leczniczym. Jeżeli wypadnie do wód wyjechać, należy wybrać takie, gdzie najmniej wrzawy, toalet. Najczęściej chore bywają wysyłane do Spaa, Pymont i Cudowy, ostatnia miejscowość z powodu znakomitego źródła, ładnego górskiego położenia i warunków, o których tylko co wspominałem, bardzo się ku temu nadaje. Wszystkie powyższe wody zawierają znaczny procent żelaza.

Żelazo jest środkiem, rzec można śmiało, leczącym radykalnie blednicę. W jaki sposób działa: nauka dotąd nie stanowczo nie zdecydowała. Teorie są rozmaite, w każdym razie żelazo jest środkiem specyficznym przeciwko blednicy i, chociaż w ostatnich czasach niektórzy autorzy przypisują mu działanie tylko pośrednie, t. j. utrzymują, że poprawia trawienie i wzbudza apetyt, zaprzeczyć nikt nie może, że pod jego działaniem chore w krótkim czasie przychodzą do zdrowia. Wielkie usługi oddać może leczenie za pomocą ścieśnionego powietrza. Zwrócić także należy baczną uwagę na ubranie: powinno ono być zastosowane do pory roku, a co najważniejsza, zawsze wygodnem.

Ciasne gorsety i wysokie korki szkodzą nie tylko osobom cierpiącym na blednicę, lecz mogą ją, u osób dotąd zdrowych, a mających do niej usposobienie, wywołać.

Dr. Józef Starkman.

Tom I-y dzieła pod tytułem:

Rozrywki dla młodocianego wieku

wyszedł z druku.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści p. t.: **Widmo szczęścia**.

TREŚĆ. Cudowna stajenka, (poezya), przez Deotymę. — Gość na wigilią Bożego Narodzenia, (dokończenie), przez M. I. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Dwa kłamstwa wieku, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — Echa z Czech, (dokończenie), przez Edwarda Jelinka. — Blednica, przez Dra Starkmana.

Warszawa. — Druk S. Orgelbrandta Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Декабря 1883 года.